

ZIARNO

Oto siewca wyszedł siał...

I

ATRETES PADAJ z nóg, a w dodatku jego duma została zadraśnięta i cierpliwość całkowicie się wyczerpała. Miał już dosyć wszystkiego.

Gdy tylko dowiedział się od Hadassy, że jego syn żyje i że apostoł Jan wie, gdzie można go znaleźć, przystąpił do układania planu. Ponieważ pospólstwo nadal go uwielbiało, nie mógł pokazać się w mieście, kiedy mu się spodoba, ale musiał czekać, aż zapadnie mrok. I tego się trzymał. Odnalezienie domu apostoła nie było trudne – Hadassa podała dostatecznie jasne wskazówki – ale człowiek Boży nawet w środku nocy zaprzątnięty był swoimi sprawami: pocieszał chore dzieci, wysłuchiwał spowiedzi umierających.

Atretes czekał więc, by po kilku godzinach dowiedzieć się, że apostoł przysłał wiadomość, iż udaje się prosto nad rzekę, by odprawić o świcie nabożeństwo. Atretes był wściekły, ale poszedł tam i trafił na moment, kiedy tłum zgromadził się już, by wysłuchać Jana, który opowiadał o Jezusie Chrystusie, ich zmartwychwstałym Bogu. Ciesła z Galilei Bogiem? Atretes zamknął uszy na głoszone przez Jana słowo i zaszył się w spokojnym miejscu pod terebintem, zdecydowany wytrwać tam do końca zgromadzenia.

Jednak teraz nie mógł już dłużej czekać! Nastal świat, słońce wznosiło się coraz wyżej, a wyznawcy ciągle wyśpiewywali chwałę swojego niebieskiego Króla i opowiadali, jak wyzwolili się od choroby, rozpaczy, złych nawyków i nawet demonów!

Niedobrze mu się robiło od słuchania tych historii. Niektórych zanurzano teraz w rzece. W ubraniu! Czy oni wszyscy oszaleli?

Atretes wstał, podszedł bliżej i szturchnął jakiegoś mężczyznę stojącego w ostatnich rzędach zgromadzenia.

– Jak długo trwają te spotkania?

– Póki przenika nas Duch Boży – odparł mężczyzna, obrzucając Atretesa szybkim spojrzeniem i natychmiast z powrotem podejmując śpiew.

Duch Boży? Co to niby ma znaczyć? Atretes nawykł do ściśle zaplanowanego rozkładu ćwiczeń i do dyscypliny, do konkretnych faktów. Odpowiedź tego człowieka była nie do pojęcia.

– Czy po raz pierwszy słuchasz?...

– Pierwszy i ostatni – uciął Atretes, któremu pilno było znaleźć się jak najdalej od tego miejsca.

Mężczyzna przyjrzał mu się uważniej i uśmiech na jego twarzy stężał. Otworzył szeroko oczy.

– Tyś jest Atretes!

Atretes poczuł, że mięśnie mu sztywnieją. Może uciec albo podjąć walkę. Zaciśnął wargi i postanowił nie ustępować. Ucieczka byłaby czymś przeciwnym jego naturze; po długiej nocy czekania był gotów podjąć walkę.

„Jesteś głupcem!” – zganił sam siebie. Powinien był milczeć i czekać spokojnie w cieniu drzewa, nie zaś zwracać na siebie uwagę. Ale co się stało, to się nie odstanie. Szukał dla siebie usprawiedliwień. Skąd mógł wiedzieć, że ludzie o nim nie zapomnieli? Minęło osiem miesięcy od chwili, kiedy opuścił arenę. Sądził, że nikt już o nim nie pamięta.

Najwyraźniej efezjanie mają dobrą pamięć.

Kiedy padło jego imię, inni obrócili głowy. Jakaś kobieta gwałtownie zaczerpnęła powietrza w płuca i odwróciła się, żeby wymienić jakieś uwagi ze stojącymi w pobliżu. Wiadomość o jego obecności przemknęła wśród zgromadzonych jak wiatr unoszący suche liście. Ludzie oglądali się, by zobaczyć, co jest powodem poruszenia, i zaraz go dostrzegali, gdyż przewyższał o głowę innych, a te jego przeklęte jasne włosy rzucały się w oczy jak latarnia morska.

Zaklął pod nosem.

– To Atretes! – mruknął któryś z mężczyzn.

Atretes poczuł, że włosy jeżą mu się na karku. Wiedział, że najmądrzej byłoby opuścić czym prędzej to miejsce, ale górę wziął upór, niepokonowana strona jego natury. Nie jest już niewolnikiem Rzymu, nie jest już gladiatorem walczącym na arenie. Może znowu rozporządzać swoim życiem. Jakaż różnica zachodzi między ścianami pełnej przepychu willi a murami szkoły gladiatorów? I tu, i tam był więźniem.

„Przyszedł mój czas!” – pomyślał z gniewem i poczuciem zawodu. Musi zdobyć potrzebne informacje i wynieść się stąd. Każdy, kto spróbuje stanąć mu na drodze, gorzko tego pożałuje.

Odepchnął mężczyznę, który nadal przyglądał się mu z szeroko otwartymi ustami, i zaczął przepychać się przez tłum.

Przez ludzkie morze przebiegł szmer.

– Rozstąpić się! To Atretes. Chce przepchnąć się do przodu! – ozwał się czyjś głos i ludzie z pierwszych rzędów przestali śpiewać. Obracali się w stronę olbrzymia.

– Chwała niech będzie Panu!

Szum podnieconych głosów sprawił, że Atretes zacisnął usta. Mimo dziesięciu lat krwawych zmagania na arenie Germanin nie przyzwyczał się do tego, że za każdym razem, kiedy się pojawia, ludzi ogarnia poruszenie.

Sertes, edyl efeskich igrzysk, człowiek, który kupił Atretesa w wielkiej rzymskiej szkole gladiatorów, upajał się przyjęciem, jakie spotykało jego cennego gladiatora, i korzystał z każdej sposobności, żeby trochę złota trafiło i do jego kieszeni. Przyjmował łapówki od majątnych patronów i zabierał Atretesa na uczy, gdzie karmiono gladiatora smakołykami i dogadzano mu na wszelkie sposoby. Inni gladiatorzy rozkoszowali się takim królewskim traktowaniem, zażywając bez żadnych ograniczeń przyjemności, korzystając z godzin dzielących ich od chwili, kiedy staną na arenie twarzą w twarz ze śmiercią. Atretes zawsze zachowywał umiar w jedzeniu i picciu. Chciał żyć. Trzymał się na uboczu, nie zwracał uwagi na biesiadników i patrzył na nich tak dziko i z taką pogardą, że otaczali go bardzo szerokim kręgiem.

– Zachowujesz się jak zwierzę w klatce! – poskarżył się kiedyś Sertes.

– Bo uczyniliście ze mnie zwierzę.

Teraz, kiedy przepychał się przez zebrany nad rzeką tłum, to wspomnienie podsycalo jego gniew. Hadassa powiedziała mu, żeby odszukał apostoła Jana. Ci gapiący się na niego, mamroczący ludzie z pewnością go nie powstrzymają.

Szum podekscytowanych głosów narastał. Mimo potężnej budowy ciała germański wojownik czuł, że tłum napiera coraz mocniej. Ludzie dotykali go, kiedy się obok nich przedzierał. Instynktownie napinał mięśnie i odpychał natrętów. Oczekiwał, że będą się czepiać jego sukni i drzeć ją na strzępy jak *amoratae*, które często ścięgały go na rzymskich ulicach. Jednak ci ludzie byli wprawdzie podnieceni jego obecnością, lecz kładli na nim dłonie po to tylko, żeby ułatwić mu przepychanie się do przodu.

– Chwała niech będzie Panu!...

– Był gladiatorem!

– Widziałem go kiedyś, nim zostałem chrześcijaninem...

Tłum zamykał się za nim i serce zaczęło bić mu jak młot. Na czoło wystąpił zimny pot. Nie lubił, kiedy zachodzono go od tyłu.

– Przejście – powiedział jakiś mężczyzna. – Zróbcie mu przejście!

– Janie! Janie! Idzie tu Atretes!

Czyżby wiedzieli już, po co przyszedł na zgromadzenie wyznawców Drogi? Czyżby Hadassa zdołała przekazać wiadomość?

– Jeszcze jeden! Jeszcze jeden zwrócił się ku Panu!

Ktoś zaintonował pieśń i fala śpiewu podnosiła się wokół niego, aż dreszcz przebiegł mu po grzbiecie. Tłum rozstępował się przed nim. Nie zamierzał zastanawiać się dlaczego; szybko pokonał ostatni odcinek drogi.

Zobaczył kilka osób stojących w wodzie. Jedną właśnie zanurzano. Inna, cała już mokra, wyrzucała wysoko wodę rękami, śmiejąc się i jednocześnie płacząc. Ludzie brnęli do niej przez wodę, żeby ją uścisnąć.

Jakiś starzec, ubrany w wełnianą tunikę i przepasany szarfą w prążki, pomagał komuś dźwignąć się z wody, mówiąc przy

tym: „Zostałeś obmyty we krwi Baranka”. Śpiew wzmógł się, stał się radośniejszy. Dźwignięty z wody mężczyzna podszedł szybko do przyjaciół. Jeden z nich uściśnął go z płaczem, pozostali otoczyli go kołem.

Atretes rozpaczliwie pragnął być jak najdalej od tego miejsca, od tego zgromadzenia ludzi szalonych.

– Ty tam! – krzyknął do starca przepasanego szarfą w prążki. – Ty jesteś Janem? Tym, którego zwą apostołem?

– Jestem nim.

Atretes wszedł do wody, dziwując się poruszeniu ludzi, którzy stali za jego plecami. Sertes powiedział kiedyś, że apostoł Jan jest większym zagrożeniem dla Cesarstwa Rzymskiego niż wszystkie bunty wybuchające na pograniczu, ale mierząc wzrokiem stojącego przed nim mężczyznę, Atretes nie zobaczył niczego, co skłaniałoby do lęku. W gruncie rzeczy Jan robił wrażenie kogoś zupełnie zwyczajnego.

Jednak Atretes nauczył się już, że nic nie jest takie, na jakie wygląda; ponure przeżycia wpoły mu przekonanie, że nie należy nikogo lekceważyć. Tchórz może okazać się groźniejszy i przebieglejszy niż człowiek odważny, a bywa, że ktoś z pozoru bezbronny zada rany zbyt głębokie, żeby mogły się zabiżnić. Czyż Julia nie rozdarła mu serca swoją zdradą i kłamstwami?

Ten starzec miał w ręku oręż, który Atretes zamierzał mu wydrzeć.

– Masz mojego syna – oznajmił głosem twardym jak kamień. – Hadassa przyniosła ci go jakieś cztery miesiące temu. Chcę go odzyskać.

– Hadassa – powtórzył Jan i jego twarz złagodniała. – Martwiłem się o nią. Nie widzieliśmy naszej siostry od wielu tygodni.

– I już jej nie zobaczysz. Jest wśród skazańców w lochu pod cyrkciem.

Jan wypuścił powietrze z piersi, jakby ktoś uderzył go z całej siły w twarz, i szepnął coś sam do siebie.

– Powiedziała, że dałeś mego syna wdowie o imieniu Rispa – ciągnął Atretes. – Gdzie ją znajdę?

– Rispa mieszka w mieście.

- Ale gdzie?
- Jan zrobił krok do przodu i położył dłoń na ramieniu Atrelesa.
- Chodź. Porozmawiamy.
- Atreles strząsnął z siebie dłoń starca.
- Chcę tylko, byś mi powiedział, jak znaleźć kobietę, która ma mojego syna.
- Jan znowu obrócił twarz w jego stronę.
- Kiedy Hadassa przyszła do mnie z dzieckiem, powiedziała, że rozkazano jej położyć je na skale, aby umarło.
- Nie wydałem takiego rozkazu.
- Twierdziła, że ojciec nie chce dziecka.
- Atreles poczuł, że twarz oblewa mu fala gorąca, a w ustach robi się sucho.
- To moje dziecko. Nie muszę ci mówić nic więcej.
- Jan zmarszczył brwi.
- Czy Hadassa została skazana za to, że przyniosła dziecko do mnie?
- Nie.
- Nieposłuszeństwo Hadassy, uratowanie dziecka, wystarczyłoby, żeby ją skazano, ale nie z tego powodu Julia posłała ją na śmierć. Julia, o ile wiedział, nie zdawała sobie nawet sprawy, że dziecko żyje. Potrafiłaby jednak rzucić Hadassę na arenę, bo taki kaprys przyszedł jej akurat do głowy. Niewiele mógł powiedzieć o tym, co przytrafiło się Hadassie.
- Jeden sługa wyjawiał mi, że Hadassie kazano zapalić wonności ku czci cesarza. Odmówiła i oznajmiła głośno, że wasz Chrystus jest jedynym prawdziwym Bogiem.
- W oczach Jana zabłysło światelko.
- Chwała niech będzie Bogu.
- Ona oszalała.
- Tak, oszalała dla Chrystusa.
- Cieszysz się z tego? – spytał z niedowierzaniem Atreles.
- Z powodu paru słów czeka ją śmierć.
- Nie, Atrelesie. Kto wierzy w Jezusa, nie umrze, lecz będzie miał życie wieczne.
- Atreles zaczął się niecierpliwić.

– Nie przyszedłem tu, żeby rozmawiać o waszym Bogu czy życiu po śmierci. Przyszedłem po syna. A jeśli chcesz dowodu mojego ojcostwa, czy wystarczy ci słowo tej nierządnicy, jego matki? Sprowadzę Julię Walerian tutaj, rzucę na kolana i zmuszę, by wyznała prawdę. Czyż to nie dość? Możesz ją potem utopić, bo ta dziwka dobrze sobie na to zasłużyła. Gotów jestem ci w tym pomóc.

Jan odpowiedział łagodnie na gniewne słowa barbarzyńcy.

– Nie wątpię, że jesteś ojcem. Troszczę się o dziecko, Atrethesie. Sprawa jest bardzo poważna. Co z Rispą?

– Jeśli dziecko ma pełny żołądek i jest mu ciepło, czegoż więcej może potrzebować? A kobiecie możesz dać inne dziecko. Nie ma żadnych praw do mojego syna.

– Pan ocalił twego syna. Gdyby nie to...

– Ocaliła go Hadassa.

– To, że przyniosła chłopca w tym właśnie momencie, nie było zgoła przypadkiem.

– Ona sama powiedziała, że gdyby wiedziała, że nie odrzucę dziecka, przyniosłaby je do mnie!

– A dlaczego nie wiedziała?

Atretes zacisnął zęby. Gdyby nie ten wpatrujący się w niego tłum, użyłby siły, żeby wydrzeć informację, której pragnął.

– Gdzie jest mój syn?

– Jest bezpieczny. Hadassa uważała, że jedyny sposób uratowania twojego syna, to powierzyć go mnie.

Oczy Atretesa zwięziły się. Patrzył chłodno na Jana i drgał mu mięsień w szczęce, ale jednocześnie czuł, jak fala gorąca oblewa mu twarz. Chciał ukryć swój wstyd, wznosząc mur gniewu, ale wiedział, że to daremne. Tylko jedna jedyna osoba patrzyła na niego tak, jakby sięgała wzrokiem do jego serca. Hadassa. Tak było dotychczas, gdyż oto teraz ten człowiek przeniakał równie łatwo jego myśli.

Napłynęły wspomnienia. Kiedy niewolnica przyszła i powiedziała, że Julia nosi w łonie jego dziecko, odparł, że nic go to nie obchodzi. Skąd mógł wiedzieć, że to naprawdę jego dziecko? Hadassa była tego pewna, ale Atretes czuł się zbyt obolały z powodu zdrady Julii i zbyt rozwścieczony, żeby myśleć jasno.

Powiedział Hadassie, że gdyby Julia Walerian położyła dziecko u jego stóp, on odwróciłby się i odszedł, nie oglądając się za siebie. Nigdy nie zapomni smutku, jakim zasnęła się twarz niewolnicy, kiedy wypowiedział te słowa... ani żalu, jaki poczuł, kiedy odeszła. Lecz był wszak Atretesem! Duma nie pozwalała mu przywołać jej z powrotem.

Skąd miał wiedzieć, że może znaleźć się kobieta tak wyzbyta uczuć wobec swego dziecka, jak Julia? Żadnej niewieście w Germanii nie przyszłoby do głowy, żeby zostawić dziecko na skale, by umarło. Żadnemu Germaninowi. Tylko „cywilizowana” Rzymianka mogła zdobyć się na coś takiego.

Gdyby nie Hadassa, jego syn już by nie żył.

Znowu skupił się na chwili teraźniejszej, na starcu stojącym przed nim i nieokazującym ani śladu zniecierpliwienia.

– To moje dziecko. Dzisiaj nie ma najmniejszego znaczenia to wszystko, co mogłem powiedzieć wczoraj! Hadassa mnie tu przysłała i odzyskam swojego syna.

Jan skinął głową.

– Poślę po Rispę i porozmawiam z nią. Powiedz, gdzie mieszkasz, a przyniosę ci syna.

– Powiedz, gdzie ona mieszka, a sam po niego pójde.

Jan zmarszczył brwi.

– Atretesie, sprawa jest trudna. Rispa kocha to dziecko jak własne. Niełatwo jej przyjdzie się z nim rozstać.

– Tym bardziej powinienem tam pójść. Byłbym chyba głupcem, gdybym pozwolił ci ostrzec tę kobietę, aby mogła opuścić miasto.

– Ani ja, ani Rispa nie chcemy odebrać ci dziecka.

– Mam na to tylko twoje słowo, a przecież ty jesteś dla mnie kimś obcym. I w dodatku szalonym! – rzekł, obrzucając wymownym spojrzeniem wyznawców. – Nie mam powodów, żeby ci ufać – roześmiał się szyderczo – ani żeby ufać kobiecie!

– A jednak zaufałeś Hadassie.

Twarcz Atretesa pociemniała. Jan przyglądał się mu przez chwilę, a potem wyjawiał, jak znaleźć Rispę.

– Modłę się, by twe serce okazało współczucie i zmiłowanie, jakie okazał ci Bóg, oszczędzając życie twojego syna. Rispa to kobieta, której wiara wytrzymała niejedną próbę.

– Cóż to oznacza?

– Że mimo swej młodości ma już za sobą wielkie tragedie.

– Lecz ta nie będzie zawiniona przeze mnie.

– Nie, ale proszę cię, byś nie miał do niej żalu o to, co się stało.

– Zawiniła jego matka. Nie winię o nic ani Hadassy, ani ciebie, ani tej wdowy – powiedział Atretes, który złagodził teraz, bo uzyskał informację, której szukał. – Poza tym – dodał, uśmiechając się krzywo – nie wątpię, że owa wdowa poczuje się lepiej, kiedy zostanie hojnie wynagrodzona za swoje trudy. – Nie zwrócił uwagi na to, że Jan skrzywił się na te słowa. Obrócił się i zobaczył, że tłum umilkł. – Na co czekają?

– Myślą, że przyszedłeś, żeby się ochrzcić.

Atretes roześmiał się drwiąco i ruszył stokiem wzgórza, nie oglądając się na tych, którzy zgromadzili się nad rzeką.

* * *

Wrócił do swojej willi okrężną drogą poza miastem i znowu musiał czekać. Bezpieczniej będzie wejść do miasta po zmroku, a poza tym uświadomił sobie, że w swym pośpiechu zapomniał rozważyć jeszcze jedną sprawę.

– Lagos! – Jego potężny głos poniósł się echem w górę marmurowych schodów. – Lagos!

Sługa zaczął biec w stronę schodów korytarzem na górze.

– Jestem, panie!

– Idź na targ i kup mamkę.

Lagos zbiegł po schodach.

– Mamkę... panie?

– Ma być z Germanii! – rzucił Atretes i ruszył w stronę łaźni.

Zbity z tropu Lagos podreptał za nim. Miał już niejednego pana, ale ten odznaczał się na pewno największą zmiennością uposobienia. Lagos czuł się zaszczycony tym, że znalazł się wśród niewolników Atretesa, największego z gladiatorów w ca-

łym cesarstwie, nie spodziewał się jednak, iż jego pan okaże się człowiekiem bliskim szaleństwa. Podczas pierwszego tygodnia pobytu niewolnika w willi Atretes zdążył rozbić całe umeblowanie, podpalić sypialnię i zniknąć. Po miesiącu Silus i Appelles, dwaj gladiatorzy, których Atretes kupił od Sertesa jako straż przyboczną, wyruszyli na poszukiwanie swego pana.

– Żyje w pieczarze na wzgórzu – oznajmił po powrocie Silus.

– Musisz sprowadzić go z powrotem!

– Mam narażać się na śmierć! Ani myślę! Idź ty, starcze. To nie dla mnie. Zbyt cenię sobie życie.

– Zagłodzi się.

– Odżywia się mięsem zwierząt, na które poluje tą przeklętą germańską *frameą* – wyjaśnił Appelles. – Stał się na powrót dzikusem.

– Czy jednak nie powinniśmy czegoś zrobić? – spytała Saturnina. Niewolnica była najwyraźniej przygnębiona tym, że jej pan żyje znowu jak barbarzyńca, jak dzikie zwierzę.

– A co powinniśmy twoim zdaniem zrobić, kochaneczko? Posłać ciebie, byś poprawiła mu humor? Łatwiej poszłoby ci ze mną – zapewnił Silus, szczypiąc ją w policzek. Odrzuciła jego rękę, a on roześmiał się. – Cieszysz się ukradkiem, że dostojna Julia wzgardziła twoim panem. Jeśli kiedykolwiek odzyska rozum i tu wróci, ty będziesz już czekała na progu.

Silus i Appelles rządzą się jak u siebie, tego popijając i rozprawiając o swych przewagach na arenie, natomiast Lagos wziął na swoje barki ciężar prowadzenia domu. Wszystko musiało być utrzymane w porządku, w gotowości na wypadek, gdyby jego pan odzyskał zmysły i wrócił.

I Atretes wrócił bez żadnego uprzedzenia. Po pięciu miesiącach nieobecności wszedł któregoś pięknego dnia do willi, zrzucił skóry, którymi się okrywał, wykąpał się, ogolił i przywdział tunikę. Potem posłał niewolnika po Sertesa, a kiedy ten się pojawił, zamknęli się na krótką rozmowę. Następnego popołudnia przyszedł posłaniec z wiadomością, że kobieta, której Atretes szuka, przebywa w lochu. Zaraz po zmroku Atretes wyszedł z domu.

A teraz oto żąda mamki. I to z Germanii, jakby takie kobiety rosły niby winne grona! W willi nie było żadnego dziecka i Lagos nie próbował nawet zastanawiać się nad powodami, jakimi kieruje się jego pan. On sam, Lagos, ma na uwadze tylko jeden cel: żyć.

Wziął się w garść, zebrał całą odwagę i otworzył usta, żeby uświadomić swemu panu kilka niepodważalnych faktów.

– To może się okazać niemożliwe, panie.

– Zapłacisz każdą cenę. Wszystko mi jedno ile – powiedział Atretes, zdejmując i odrzucając pas.

– Nie zawsze jest to sprawa pieniędzy, panie. Germanie są bardzo poszukiwani, a zwłaszcza blondyni, niewolników germańskich jest zaś niewiele...

Poczuł, że krew odpływa mu z twarzy, kiedy ujrzał pełne ironii spojrzenie Atretesa. Kto jak kto, ale Atretes z pewnością wie o tym najlepiej. Lagos zaczął zastanawiać się, czy jego pan wie, że wystawiono nowy posąg Marsowi i że podobieństwo boga do stojącego tutaj gladiatora rzuca się w oczy. Koło cyrku nadal sprzedaje się posążki Atretesa. Nie dalej jak kilka dni temu Lagos widział w kramiku wytwórcy posążków wizerunki Apolla, który wyglądał zupełnie jak Atretes, aczkolwiek hojniej wyposażony przez naturę niż to możliwe.

– Wybacz, panie, ale może się zdarzyć, że nie znajdę germańskiej mamki.

– Jesteś Grekiem, a Grekom nigdy nie brakuje pomysłów. Masz znaleźć mamkę! Nie musi być blondynką, ale przypilnuj, żeby była zdrowa! – Zdjął tunikę, ukazując ciało uwielbiane przez całe zastępy *amoratae*. – Jutro rano ma tu już czekać.

Stanął na krawędzi basenu.

– Tak jest, panie – odpowiedział posepnym głosem Lagos, który uznał, że lepiej działać niż tracić czas na jałowe próby przemówienia do rozumu szalonemu barbarzyńcy. Jeśli nie zdobędzie mamki, Atretes bez wątpienia pożre jego wątrobę jak orzeł, który wiecznie pożera wątrobę Prometeusza.

Atretes wskoczył do basenu i zimna woda przyniosła ulgę jego rozgorączkowanemu umysłowi. Wyszedł na brzeg i strząsnął wodę z włosów. Dziś wieczorem pójdzie do miasta. Gdy-

by wziął ze sobą Silusa i Appellesa, zbyt rzucaliby się w oczy. Zresztą nawet dwóch świetnie wyszkolonych strażników na nic się zda, kiedy trzeba stawić czoło tłumowi. Znacznie lepiej zrobi, jeżeli uda się do miasta sam. Ubierze się jak człowiek z gminu i zakryje włosy. W takim przebraniu z pewnością nie będzie miał żadnych trudności.

Po wyjściu z basenu krążył bez celu po domu. Nie mógł sobie znaleźć miejsca, czuł narastające napięcie; wreszcie trafił na piętro, do największego pokoju. Jego noga nie stanęła tu od czasu, kiedy pięć miesięcy wcześniej spowodował pożar. Rozejrzał się i spostrzegł, że służba uprzątnęła zwęglone meble, ozdoby ścienne i rozbite wazy korynckie. Chociaż bez wątplenia szorowali marmury, nie zdołali usunąć wszystkich śladów jego gniewu i żądy niszczenia. Kupił tę willę dla Julii, zamierzając ją tu sprowadzić jako żonę. Dobrze wiedział, że Julia uwielbia przepych i teraz przypomniał sobie, jaki był dumny, kupując najdroższe sprzęty do domu. Mieli dzielić ten pokój.

Jednak Julia poślubiła innego mężczyznę.

Nadal dźwięczały mu w uszach jej łkania i kłamstwa, i nędzne wymówki, kiedy kilka miesięcy po odzyskaniu wolności przyszedł, żeby ją zabrać. Powiedziała, że jej mąż ma swojego katamitę i nią się nie interesuje, a poślubiła go, by zdobyć niezależność majątkową, wolność.

Co za kłamliwa wiedźma!

Od samego początku powinien był wiedzieć, z kim ma do czynienia. Czyż nie wpadła na sprytny pomysł, żeby udać się do Artemizjonu w przebraniu nierządnicy i w ten sposób zwrócić na siebie jego uwagę? Dysponował swobodnie swoim czasem, jeśli tylko nie przeszkadzało mu to wykonywać ćwiczeń, jakie przewidział dla niego Sertes. Wystarczyło, by kiwnęła ozdobionym klejnotami palcem, a on biegł do niej jak pierwszy lepszy głupiec. Oszołomiony jej urodą, spragniony jej rozwiąłości, biegł do niej – a ona go zniszczyła.

Jakiż był z niego głupiec!

Kiedy brał Julię Walerian w ramiona, rzucał swą dumę na wiatr, a szacunek dla samego siebie rozbijał w proch i pył. Godził się na hańbę. Przez wszystkie te miesiące ich ukrywanego

romansu wracał do swojej celi przybity i z poczuciem jakiejś udręki, lecz nie chciał spojrzeć prawdzie w oczy, bo wtedy musiałby sobie samemu wyznać, kim jest Julia. On jednak pozwalał, żeby robiła z nim, co chciała, jak robili z nim, co chcieli, wszyscy od chwili gdy dostał się do niewoli i wydarto go z ukochanej Germanii. Miękkie, jedwabiste ramiona Julii niewoliły go skuteczniej niż żelaza, w jakie go zakuwano.

Kiedy widział ją po raz ostatni, zaklinała się, że go kocha.

Miłość!

Tak mało wiedziała o miłości – i o nim, Atretesie – że uznała, iż poślubienie innego mężczyzny niczego między nimi nie zmieni. Myślała, że będzie potulnie biegł do niej za każdym razem, kiedy kiwnie na niego palcem.

Na bogów, wie teraz, że choćby szorował się przez całe lata, nigdy nie pozbędzie się brudu, który przez nią do niego przylgnął! Patrząc na ogołocoony, zniszczony pokój, przysięgł sobie, że już nigdy nie pozwoli, ażeby kobieta tak go zniewoliła!

Kiedy zaszło słońce, Atretes założył wełniany płaszcz, we tknął za pas sztylet i ruszył do Efezu. Szedł przez wzgórze w kierunku północno-zachodnim, wybierając dobrze znane ścieżki. Mijał rozsiane z rzadka małe domy, których było coraz więcej, w miarę jak zbliżał się do miasta. Główną drogą ciągnęły ku bramom wozy wyładowane różnymi dobrami. Kroczył w cieniu jednego z wozów, ukryty przed gęstniejącym tłumem.

Dostrzegł go jednak woźnica.

– Hej, ty tam! Trzymaj się z daleka od mojego wozu!

Atretes zrobił wulgarny gest ręką.

– Takiś skory do bitki?! – wrzasnął, prostując się, woźnica.

Atretes roześmiał się drwiąco, ale milczał. Gdyby się odezwał, natychmiast rozpoznano by jego akcent, gdyż w tej części cesarstwa rzadko spotykało się Germanina. Wyszedł z cienia i ruszył w kierunku rzymskich posterunków. Jeden z żołnierzy zerknął w jego stronę i ich spojrzenia skrzyżowały się na chwilę. Atretes zobaczył w oczach Rzymianina błysk zainteresowania, pochylił więc głowę, żeby trudniej było rozpoznać jego rysy. Strażnik powiedział coś do swoich towarzyszy, więc Atretes

wmieszał się w grupę podróżnych, a potem skręcił w pierwszą ulicę. Czekał w mroku, ale nie posłano za nim nikogo.

Ruszył dalej, zadowolony, że bliski pełni księżyc oświetla białe kamienne płyty, którymi wyłożono ulicę.

Jan powiedział mu, że kobieta, która zaopiekowała się jego synem, mieszka na piętrze walącej się *insuli* w ubogiej dzielnicy położonej na południowy wschód od zespołu bibliotek koło Artemizjonu. Atretes wiedział, że znajdzie ten dom, jeśli będzie szedł przez środek miasta.

W miarę jak zbliżał się do świątyni, tłum gęstniał. Unikając ludzi, szedł labiryntem alejek, aż potknął się w pewnym momencie o człowieka śpiącego pod ścianą. Mężczyzna jęknął, zaklął, naciągnął płaszcz na głowę, przekręcił się na bok i podkulił kolana.

Atretes usłyszał dochodzące zza pleców głosy i przyspieszył kroku. Kiedy skręcił za róg, ktoś wychylił się z okna na drugim piętrze i opróżnił naczynie nocne. Atretes odskoczył ze wstrętem do tyłu i rzucił przekleństwo w stronę okna.

Głosy umilkły, ale słyszał, że w alejce za jego plecami coś się porusza. Obrócił głowę i jego oczy zwęziły się. W jego stronę skradało się sześć niewyraźnych kształtów. Zwrócił się ku nim twarzą, gotów do walki. Napastnicy uświadomili sobie, że zostali zauważeni i nie kryjąc się już, ruszyli do ataku. Rozproszyli się i otoczyli go półkolem. Jeden z nich, najwyraźniej przywódca, skinął i pięciu pozostałych zajęło pozycje zamykające ofierze drogę ucieczki.

Atretes dostrzegł błysk ostrza i uśmiechnął się zimno.

– Nie pójdzie wam ze mną łatwo.

– Dawaj trzosa! – rozkazał przywódca. Jego głos wskazywał, że jest to młody chłopak.

– Wracaj do domu, chłopcze, a może dożyjesz ranka.

Młodzieniec roześmiał się drwiąco, zbliżając się krok po kroku do Atretesa.

– Palusie, zaczekaj – rzucił któryś zaniepokojonym głosem.

– Mam złe przeczucia – ozwał się w ciemności jakiś inny głos. – Jest o głowę wyższy...

– Zamknij się, Tomaszu! On jest jeden, a nas sześciu!

– Może nie ma pieniędzy.
– Ma. Słyszałem brzęk monet. I to ciężkich. – Palus zbliżał się coraz bardziej. Inni szli za swoim przywódcą. – Trzos!
– Strzelił palcami. – Rzuć go.

– Weź sam.

Wszyscy stali nieruchomo. Palus rzucił wyzwisko. W jego młodzieńczym głosie dźwięczała urażona duma.

– Coś mi się zdaje, że zabrakło ci odwagi – powiedział Atretes, żeby jeszcze bardziej rozjątrzyć chłopaka.

Palus rzucił się z ostrzem skierowanym w pierś Atretesa.

Atretes od wielu miesięcy nie walczył, ale nie miało to najmniejszego znaczenia. W jednej chwili obudził się w nim znowu niezawodny instynkt walki, wróciły odruchy, które kształtował w sobie przez wiele lat. Rzucił się w bok, unikając ostrza sztyletu, a potem chwycił nadgarstek napastnika i gwałtownym szarpnięciem wyrwał ramię ze stawu. Palus padł na ziemię, krzycząc z bólu.

Pozostali nie wiedzieli, czy mają uciekać, czy też rzucić się do ataku, ale po chwili jeden z głupców runął na Atretesa, pociągając za sobą innych. Jeden z nich zdołał zadać Atretesowi cios pięścią w twarz, inny skoczył mu na grzbiet. Atretes rzucił się całym ciężarem do tyłu na ścianę i jednocześnie wymierzył kopniaka napastnikowi, który znalazł się przed nim.

Otrzymał dwa ciosy w bok głowy, sam zaś łokciem wymierzył uderzenie w pierś któregoś z napastników. Złodziejaszek padł na ziemię, próbując odzyskać dech.

W toku bójki kaptur zsunął się z głowy Atretesa i jasne włosy gladiatora załśniły w świetle księżyca.

– Na Zeusa! Atretes!

Ci, którzy nie zostali powaleni, rozbiegli się jak szczury, niknąc w ciemności.

– Pomocy! – wrzeszczał Palus, ale przyjaciele myśleli tylko o ratowaniu własnej skóry. Jęcząc z bólu i tuląc do piersi złamane ramię, Palus cofał się, póki nie natrafił na ścianę. – Nie zabijaj mnie! – szlochał. – Nie zabijaj, błagam! Nie wiedzieliśmy, że to ty.

– Najgorsi gladiatorzy mają więcej odwagi niż ty, chłopcze – odparł Atretes. Ominął Palusa i ruszył swoją drogą.

Usłyszał jakieś głosy dochodzące z przodu.

– Przysięgam! To on! Był ogromny i włosy miał w świetle księżyca zupełnie białe. To Atretes!

– Gdzie?

– Tam! Zapewne zabił Palusa.

Klnąc pod nosem, Atretes pobiegł wąską uliczką w stronę przeciwną do zamierzonej. Biegł między *insulae*, potem skręcił w szerszą ulicę, a wreszcie wybiegł zza rogu na właściwy szlak. Miał teraz przed sobą główną ulicę wiodącą do Artemizjonu. Kiedy znalazł się bliżej świątyni, zwolnił kroku, nie chcąc zwracać na siebie uwagi. Naciągnął z powrotem kaptur, żeby zakryć swoje jasne włosy, i spuścił głowę. Znalazł się na targu przed świątynią.

Po obu stronach ciągnęły się kramy i uliczni sprzedawcy zachwalali swoje towary. Lawirując w tłumie, Atretes zerkał na miniaturowe świątynie i posążki Artemidy, tace z amuletami i woreczki pełne kadzideł. Wszedł do jednego ze sklepików i spojrzał na ladę zastawioną marmurowymi posążkami. Ktoś go potrącił, podszedł więc bliżej, udając, że zainteresował się wystawionym towarem. Musi wtopić się w wieczorny tłum klientów. Mieszkańcy wszystkich zakątków cesarstwa tłoczyli się, rozglądając się za okazją. Atretes spojrzał uważniej na posążki i zamarł.

Kupiec uznał, że ma przed sobą potencjalnego klienta.

– Przyjrzyj się uważnie, dostojny panie! To kopie nowego posągu wzniesionego niedawno ku czci Marsa. Nigdzie nie znajdziesz lepszej roboty.

Atretes podszedł jeszcze bliżej i wziął do ręki jeden z posążków. Czegoś takiego sobie nie wyobrażał. To on, Atretes! Wbijał wzrok w bóstwo, które dla niego oznaczało zniewagę.

– Więc to Mars? – warknął. Miał ochotę skruszyć posążek w pył.

– Musisz być nowy w naszym mieście, panie. Czy przybyłeś z pielgrzymką do bogini?

Sprzedawca pokazał mu mały posążek z wieloma pierściami i w diademie z symbolami, wśród których był runiczny symbol Tiwaza, boga czczonego niegdyś przez Atretesa.

„Jest tu! U kramarza handlującego bożkami.”

Odwrócił się gwałtownie i zobaczył z tuzin młodzieńców przepychających się przez tłum w jego stronę.

– Powiadam ci, że to był Atretes!

– Atretes! Gdzie?

Ludzie stojący najbliżej obrócili się, by na niego spojrzeć. Kramarz przypatrywał się mu z szeroko otwartymi ustami.

– To ty! Na bogów!

Atretes zamiótł ramieniem po stole, a potem uniósł w górę blat. Odepchnął nim napierających ludzi i spróbował biec. Ktoś chwycił go za tunikę. Atretes ryknął z wściekłością i uderzył tamtego w twarz. Mężczyzna runął, pociągając za sobą trzech innych.

Cała ulica rozbrzmiewała pełnymi podniecenia okrzykami:

– Atretes! Atretes jest tutaj!

Chwytało go coraz więcej rąk, wykrzykiwano z entuzjazmem jego imię.

Nie przywykł do prawdziwego strachu, ale zaznał go teraz, kiedy miał przed sobą ogarnięty gorączką tłum. Jeszcze chwila, a znajdzie się w samym sercu zamieszek. Przedarł się przez pół tuzina wczepionych w niego ciał, zdając sobie doskonale sprawę, że musi się stąd wydostać. I to natychmiast!

– Atretes! – wrzasnęła jakaś kobieta, rzucając się na niego całym ciałem.

Zrzucił ją, ale podrapała mu szyję. Ktoś wyrwał mu pasmo włosów. Zdarło mu z ramion płaszcz. Ludzie wyli z podniecenia. Wyswobodził się, powalając każdego, kto znalazł się na jego drodze. *Amoratae* piszczały, ścigając go jak zgraja wściekłych psów. Skręcił w wąską alejkę między straganami i wywrócił jeszcze jeden kramik. Na bruk posypały się owoce i jarzyny. Cisnął za siebie następną ladę, tym razem z wyrobami z miedzi, wnosząc kolejną zaporę między sobą a tłumem. Usłyszał okrzyki świadczące, że kilkoro ze ścigających potknęło się o te przeszkody i runęło na ziemię. Przeskoczył jakiś wózek, skręcił gwałtownie i pobiegł ulicą między dwiema *insulae*. Szybko spostrzegł, że znalazł się w ślepych zaułku i ogarnęła go panika, jakiej nie zaznał w ciągu całego życia. Widział kiedyś, jak zgraja dzikich psów ściga na arenie człowieka. Psy dopadły

swoją ofiarę i natychmiast rozszarpały ją na strzępy. To samo czeka być może jego, jeśli dopadną go rozpalone namiętnością *amoratae*.

Obracał się gorączkowo to w jedną, to w drugą stronę, szukając wzrokiem drogi ucieczki. Zobaczył drzwi i podbiegł do nich. Były zaryglowane. Wyważył je ramieniem i wbiegł na ciemne schody. Jedno, drugie piętro. Przystanął na podeście i czekał. Wstrzymał dech, żeby lepiej słyszeć.

Z ulicy dochodziły przytłumione głosy.

– Musiał schować się w którejś *insuli*.

– Spójrzcie tam!

– Nie, zaczekaj! Te drzwi ktoś wyważył!

Ktoś wbiegał po schodach.

Atretes najciszej jak umiał ruszył korytarzem. Chociaż wszystkie drzwi były zamknięte, w powietrzu unosiła się woń ludzkiej biedy. Jakież drzwi otworzyły się za jego plecami i ktoś zza nich wyjrzał, ale Atretes wspinał się już wąskimi, mokrymi schodami. Dotarł na trzecie piętro, potem na czwarte. Rozwrzeszczana pogoń obudziła mieszkańców. Atretes znalazł się na dachu. Nie było tu żadnego miejsca, w którym mógłby się ukryć.

Głosy coraz bardziej się przybliżały.

Miał przed sobą tylko jedną drogę ucieczki. Rozpędził się i przeskoczył nad przepaścią na dach sąsiedniego domu. Upadł i potoczył się po dachu, ale natychmiast stanął na nogi i rzucił się do drzwi prowadzących na schody. Ukrył się w cieniu dokładnie w chwili, kiedy tuzin ludzi wybiegł na dach, z którego dopiero co zeskoczył.

Szybko cofnął się głębiej, ciężko dysząc, z bijącym mocno sercem.

Głosy cichły, gdyż kolejni prześladowcy zbiegali po schodach, żeby poszukać go w mrocznej okolicy *insuli*. Atretes oparł się o ścianę, zamknął oczy i starał się uspokoić oddech.

Jak przejść przez miasto, odnaleźć wdowę i wydostać się, nie tracąc przy tym życia – własnego i syna?

Przeklął rzemieślników, którzy sporządzali jego wizerunek, by sprzedawać go spragnionym bożków ludziom, a potem uznał,

że powinien myśleć tylko o tym, jak cało i zdrowo wydostać się z miasta. Kiedy to osiągnie, znajdzie jakiś sposób, żeby odzyskać syna.

Odczekał godzinę, zanim odważył się wejść schodami i korytarzami do wnętrza domu. Wzdragał się przy najmniejszym szeleście. Kiedy znalazł się na ulicy, szedł pod ścianami, w najgłębszym cieniu. Zabłądził, ale niby szczur zdążył w ciągu cennych godzin nocnych odnaleźć drogę w labiryncie alei i wąskich uliczek.

Do bram miasta dotarł o wschodzie słońca.

II

LAGOS USŁYSZAŁ, jak trzasnęły zamykane drzwi i domyślił się, że zjawił się jego pan. Sam wrócił ledwie kilka godzin wcześniej, gdyż całe popołudnie, wieczór i znaczną część nocy spędził na chodzeniu od jednego do drugiego targu niewolników i szukaniu germańskiej mamki. W końcu udało mu się taką mamkę znaleźć i był pewny, że Atretes będzie zadowolony. Była silna, rumiana i włosy miała jasne jak pan Lagos.

Kiedy wkroczył do holu, zobaczył mroczne spojrzenie Atretesa i pojął, że jego pan jest w nastroju jeszcze mroczniejszym niż jego oczy. Na szyi byłego gladiatora widać było krwawe zadrapania, z których krew spłynęła na tunikę. Germanin robił wrażenie kogoś gotowego zabić pierwszego człowieka, jaki nawinie mu się pod rękę. Wszystko jedno kto to będzie.

– Czy znalazłeś mamkę?

Lagos czuł, jak mocno bije mu serce. Dziękował bogom, że udało mu się wykonać rozkaz pana.

– Tak, panie – odparł szybko. Krople potu wystąpiły mu na czoło. – Czeka w domu. – Nie ulegało wątpliwości, że gdyby jej nie znalazł, jego życie narażone byłoby na poważne niebezpieczeństwo. – Czy chciałbyś ją zobaczyć, panie?

– Nie!

Atretes poszedł na wewnętrzny dziedziniec. Pochylił się tak, żeby woda z fontanny tryskała mu na głowę. Lagos zaczął się już zastanawiać, czy jego pan nie chce się czasem utopić. Po dłuższej chwili Atretes wyprostował się i potrząsnął głową jak

mokry pies, rozpryskując wodę na wszystkie strony. Lagos nie spotkał się z takim zachowaniem u żadnego ze swoich panów.

– Umiesz pisać? – spytał chłodno Atretes.

– Tylko po grecku, panie.

Atretes przesunął dłonią po twarzy i strzepnął rękę.

– Pisz zatem – rozkazał głosem pełnym goryczy. – „Zgadzam się na Twoją propozycję. Sprowadź mojego syna jak najszybciej do mnie.” Podpisz moim imieniem i zanieś list apostołowi Janowi. Wyjaśnij mu, jak ma tu dotrzeć. – Podaj niewolnikowi adres małego domu na obrzeżu miasta. – Jeśli go tam nie będzie, szukaj nad rzeką.

Opuścił dziedziniec.

Lagos odetchnął i podziękował bogom, że nie utracił życia.

* * *

Ciężki kij pękł w rękach Silusa pod uderzeniem Atretesa. Sługa odskoczył do tyłu, z trudem utrzymując równowagę. Atretes zaklął i zrobił krok do tyłu. Silus wykrzywił usta w ponurym uśmiechu i odrzucił bezużyteczną broń.

Atretes machnął niecierpliwie ręką.

– Jeszcze raz!

Gallus wziął następną pałkę ze stojącej pod ścianą beczki i rzucił ją Silusowi. Silus chwycił oręż i znowu przyjął pozycję gotowości do walki. Ten człowiek nigdy nie będzie miał dość!

Gallus stał koło sklepionego wejścia do łaźni i kryjąc swoje współczucie, przyglądał się walce. Silus był zlany potem, twarz mu poczerwieniała z wysiłku. Natomiast ich pan oddychał równie lekko, jak na początku walki.

Trzask!

– Atakuj! – wrzasnął Atretes.

Trzask!

Silus zdołał zablokować kolejny cios, ale wyraźnie tracił siły.

Trzask!

– Atakowałbym... – Trzask! – gdybym mógł!... – rzucił zadyuszonym głosem Silus.

Zamachnął się pałką, ale chybił. Poczłł nagle straszliwy ból pod kolanami i na moment stracił grunt pod nogami, a potem padł ciężko plecami na marmurową posadzkę. Zaklął pod nosem i próbując odzyskać dech, leżał bezradnie i patrzył, jak przeciwnik staje nad nim. Atretes zamachnął się, jakby chciał zadać pałką cios w krtań, i Silus pomyślał, że już po nim. Jednak kij zatrzymał się cał od jego szyi. Atretes odchrząknął ze wstrętem.

– Jak to się stało, że nie zniesiono cię martwego z areny?
– Cisnął kij, który odbił się kilka razy od posadzki, a potem od ściany.

Zbity z tropu Silus wykrzywił twarz. Patrzył ostrożnie na Atretesa, zastanawiając się, czy czeka go następna runda walki.

Atretes zaklął po germańsku i przewrócił kopniakiem beczkę, rozsypując pałki po marmurowej posadzce. Wydał okrzyk pełen zawodu i zaczął wyrzucać z siebie jakieś niezrozumiałe germańskie słowa.

Po jakimś czasie Silus odzyskał oddech, dźwignął się powoli na nogi i wykrzywił twarz z bólu. Modlił się do Artemidy, żeby Atretes roztrwonił swoje siły, łamiąc na kolanie kije do walki, zamiast łamać jego, Silusa. Zobaczył Lagosa zagląającego nerwowo do sali i dostrzegł szansę uniknięcia dalszych upokorzeń.

– No, no. Wrócił nasz Lagos!

Atretes obrócił się z gniewnym wyrazem twarzy.

– Gdzie się podziewałeś tyle czasu?!

Wchodząc do gimnazjonu, Lagos czuł się, jakby wtargnął na legowisko lwa.

– To przez...

– Żadnych tłumaczeń! Znalazłeś go?

– Tak, panie. Późną nocą.

– No i...?

– Oddałem, panie, list od ciebie.

– Co powiedział Jan?

– Że tak się stanie.

– Zawiadom mnie, gdy tylko przyjdzie. – Atretes szarpnął głową, odprawiając sługę. Z półki koło drzwi wziął ręcznik,

żeby osuszyć twarz i szyję. Cisnął ręcznik na ziemię i obrzucił niechętnym spojrzeniem Silusa i Gallusa. Stali, czekając na jego rozkazy. – Na dzisiaj dość! – rzucił bezbarwnym głosem. – Precz!

Kiedy został sam w gimnazjonie, usiadł na ławce. Z rozdrażnieniem przesunął dłońmi po włosach. Da Janowi kilka dni na spełnienie obietnicy, ale potem odnajdzie apostoła i nie zważając na nic, skręci mu kark.

Zniecierpliwienie nie ustępowało. Wstał z ławki i wyszedł z sali. Minął łaźnie i znalazł się w korytarzu prowadzącym na tyły domu. Pchnął mocno ciężkie drzwi i przeszedł po wyrównanej ziemi do furtki w murze. Była otwarta.

Strażnik wszedł natychmiast do środka, skinął głową i zameldował:

– Pusto, panie!

Już przedtem rozejrzał się, czy nie ma w pobliżu żadnej z *amorateae*, które mogły czekać po drugiej stronie na pojawienie się Atrelesa. Często przychodzili tu ludzie, którzy pragnęli popatrzeć na sławnego gladiatora.

Atretes ruszył truchtem przez wzgórze i biegł, aż całe jego ciało pokrył pot. Zwolnił i szedł teraz szybkim krokiem, kierując się ku grzbietowi wzgórze, z którego rozciągał się widok na zachód. Miał przed sobą w oddali Efez, wielkie miasto, które rozprzestrzeniło się niby zaraza, u podnóża północnych, południowych i wschodnich wzgórz. Atretes widział Artemizjon i zespół bibliotek w pobliżu portu. Obracając lekko głowę, mógł zobaczyć cyrk.

Zmarszczył brwi. Czy to nie dziwne, że przychodzi ciągle na to wzgórze, by spojrzeć w stronę miasta? Póki był gladiatorem, miał przed sobą wyraźny cel: przeżyć. Teraz wie, że życie pozbawione celu. Wypełniał dni ćwiczeniami, ale czemu miały one służyć?

Przypomniawszy sobie słowa Pugnaksa, byłego gladiatora, właściciela rzymskiej gospody: „Nigdy nie będziesz żył tak jak teraz, kiedy codziennie patrzysz śmierci w oczy”. Wtedy Atretes uznał go za głupca. Teraz te słowa skłaniały go do namysłu. Spostrzegł, że w chwilach beczynności tęskni za tym podnie-

cenieniem, jakie odczuwał, walcząc o życie. Przeżyć! Najważniejsza jest walka, ona bowiem dawała mu tę żądzę życia, to poczucie, że życie ma sens. Walka o życie!

Teraz po prostu istnieje. Je, pije, ćwiczy. Śpi. Od czasu do czasu zażywa rozkoszy z kobietą. Jednak w sumie dni zlewały się w jedno, wszystkie były puste, wyzbyte znaczenia.

Gdzieś w tym plugawym mieście jest jego syn, jedyny powód nakazujący Atretesowi pozostać w Jonii. Po drugiej stronie tej modrej równiny leży Italia, a na północ od niej jego kraj. Ogarnęła go taka tęsknota za ojczyzną, że coś ścisnęło go za gardło. Jest wolny. Ma pieniądze. Kiedy tylko odzyska syna, nic go nie powstrzyma. Sprzeda willę i wsiądzie na pierwszy okręt płynący na zachód.

Po powrocie do domu przez cały wieczór siedział w *triclinium*, pijąc wino. Pilia przyniosła tacę z owocami. Patrzył, jak stawia ją przed nim na marmurowym stoliku. Rozpuściła włosy. Pożerała go wzrokiem, pełna nadziei i żądy.

– Zjadłbyś może brzoskwinę, panie?

Julia pragnęła otaczać się najpiękniejszymi przedmiotami i najpiękniejszymi niewolnikami. Jeśli nie liczyć Hadassy, wszystkie jej służebne były równie urodziwe jak ta, która stała w tej chwili przed nim. Jego spojrzenie przesuwano się po ciele Pili. Poczul żar we krwi. Kupił ją, by służyła Julii, ale zamiast tego będzie służyła jemu.

Przypomniał sobie *ludus* i kobietę, którą przyprowadzono mu do celi. Uznał, że powinien zostawić Pili wolny wybór.

– Czy chcesz mi służyć? – spytał, unosząc lekko brwi.

– O tak, panie!

– Spójrz na mnie, Pilio. – Kiedy obróciła twarz w jego stronę, uśmiechnęła się. – Nie pragnę brzoskwini.

Odłożyła owoc na tacę. Jej ręka lekko drżała, ale jej mroczne oczy patrzyły na niego wymownie. Kiedy wyciągnął rękę, po-deszła bez śladu ociągania.

Był miło zaskoczony jej doświadczeniem i pożądaniem.

– Czy równie dobrze służyłaś poprzedniemu panu? – spytał znacznie później.

– Właśnie dlatego jego żona uznała, że należy mnie sprzedać – uśmiechnęła się przebiegle.

Twarz Atretea stężała. Odwrócił głowę. Zaniepokojona Pilia zmarszczyła lekko brwi.

– Czy naraziłam się na twój gniew, panie?

Atretea spojrział na nią chłodno.

– Służyłaś mi bardzo dobrze – powiedział oschłym głosem.

Wstała, niepewna, jak przyjąć jego słowa.

– Czy chcesz, bym towarzyszyła ci do sypialni?

– Nie.

Zaskoczona tą odpowiedzią zamrugowała powiekami.

– Nie chcesz, panie? – Spróbowała uśmiechnąć się uwodzicielsko. Zobaczył napięcie w jej oczach.

– Możesz odejść.

Zimny ton jego głosu sprawił, że pobladła i spuściła wzrok.

– Tak, panie – powiedziała i wyszła.

Atretea otarł dłonią usta, jakby chciał usunąć z nich smak jej pocałunków. Chwytał bukłak z winem i pił łąpczywie. Wyszedł z *triclinium*. Jego kroki odbijały się stłumionym echem od marmurowych płytek sieni. Samotność zamknęła się szczelnie wokół niego, napierając tak, że poczuł ból w sercu. Dlaczego? Przez tę dziwkę Julię?

Wszedł na górę do swojej sypialni. Usiadł na skraju łoża i znowu przechylił bukłak. Pragnął się upić, upić tak, żeby zanurzyć się w otchłani zapomnienia, żeby spać bez sennych koszmarów.

Rzucił bukłak i opadł na łożo. Wzrok miał mętny, w głowie czuł lekkość. Było to dobre, swojskie uczucie. Jutro będzie czuł się gorzej, ale teraz jest mu dobrze. Zamknął oczy i przeniósł się w myślach do mrocznych lasów Germanii, do kąpieli w rzece. Potem zapadł się w nicość.

* * *

Obudził się w ciemności. Było mu gorąco i niewygodnie. Jęcząc, obrócił się i usiadł. Nie przywykł do miękkich materaców. Przywłókł skórę, rzucił się na posadzkę i westchnął.

Zimny marmur był jak kamienna ława, na której spał w szkole gladiatorów.

Tak zastał go rankiem Lagos. Gdyby to było możliwe, najchętniej by natychmiast wyszedł. Nie mógł jednak tego uczynić, nie narażając się później na gniew swojego pana i straszne konsekwencje. Przełknął ślinę i po pokrytej malowidłami podłodze podszedł do Atretesa. Pochylił się nad nim.

– Panie – powiedział, ale daremnie, gdyż Atretes nadal chrapał. Lagos zebrał się na odwagę i powiedział głośniej: – Panie!

Atretes otworzył oko i powoli skupił wzrok na obutej w sandały stopie koło swojej twarzy. Zaklął i zakrył głowę futrem.

– Wynoś się!

– Powiedziałaś, panie, bym zawiadomił cię, jak tylko przyjdzie apostoł.

Tym razem Atretes mruknął plugawe greckie przekleństwo i odkrył głowę.

– Jest tu?

– Nie, panie, ale Silus przysłał wiadomość, że przy furcie stoi kobieta. Nazywa się Rispa i powiedziała, że spodziewasz się jej przyjscia.

Atretes odrzucił futro. Wstał, mrużąc oczy, gdyż od strony balkonu wpadało do pokoju światło słońca.

– Przyszła z dzieckiem na ręku, panie.

Atretes machnął ze zniecierpliwieniem ręką.

– Powiedz Silusowi, żeby wziął od niej dziecko.

– Jakże, panie?

– Głuchyś?! – ryknął Atretes i skrzywił się z bólu. – To moje dziecko, nie jej! Daj jej sto denarów i niech idzie, skąd przyszła, ty zaś zanieś dziecko do mamki. – Ponieważ Lagos ani drgnął i tylko wlepił w niego spojrzenie, Atretes wrzasnął: – Rusz się!
– Znowu skrzywił się z bólu.

– Stanie się, jak rozkazałeś, panie.

Atretes czuł pulsujący ból w głowie, w ustach mu zaschło. Rozejrzał się za czymś do picia. Kopnął zwiotczały bukłak i podszedł do pięknie rzeźbionego stołu. Gardząc srebrną czarą, napił się prosto z dzbana. Odstawił dzban i potarł brodę. Po-

czuł kłujący kilkudniowy zarost. Podszedł do swego legowiska i rzucił się na nie, zamierzając spać, póki się nie wyśpi.

– Panie?

Atretes dźwignął się odrobinę.

– Zrobiłeś, jak kazałem?

Lagos odchrząknął nerwowo.

– Kobieta powiedziała, że to jej dziecko.

– A ja powiedziałem ci, że moje – zgrzytnął zębami, nie podnosząc z miękkiego futra obolałej głowy.

– Tak, panie, ale ona nie chce go oddać, a Silus nie wie, czy powinien uciec się do przemocy. Powiedziała, że przysłała do ciebie, żeby porozmawiać o jej synu.

O jej synu! Atretes podniósł się i usiadł. Czuł, jak narasta w nim wściekłość.

– Czy powiedziała coś jeszcze? – spytał, starając się, żeby zabrzmiało to szyderczo.

Lagos przełknął ślinę.

– Tak, panie.

– Nie kwapisz się z przekazywaniem jej słów – warknął Atretes.

– Dalej, wyduś to z siebie.

– Powiedziała, żeby oddać ci te denary i żebyś je sobie zjadł.

– Wyciągnął przed siebie rękę z sakiewką, która stała się przedmiotem obrazu.

Atretes pobladł z gniewu. Podszedł, capnął sakiewkę i obrzucił Lagosa groźnym spojrzeniem.

– Poproś ją – rozkazał przez zaciśnięte zęby.

Jeśli ta kobieta szuka zwady, będzie ją miała.

* * *

Silus patrzył na Lagosa idącego przez dziedziniec. Przygaszony uśmiech na twarzy Greka świadczył, że nie poszło mu łatwo z Atretesem.

– Mój pan zechce z tobą rozmawiać, pani – oznajmił Lagos i wskazał ręką drogę. – Proszę za mną.

Idąc za Lagosem, Rispa czuła, że cząstka ciężaru spadła jej z serca. Dziękowała w duchu Bogu. Rzuconych w gniewie słów

o pieniądzech pożałowała, gdy tylko padły z jej ust, ale nie mogła już ich cofnąć. Może sługa jest znacznie mądrzejszy niż ona i nie przekazał swemu panu tej zniewagi.

Rozejrzała się i to, co zobaczyła, wzbudziło jej zaniepokojenie. Chociaż willa była duża, nikt tu nie pomyślał o urządzeniu ogrodu. Dom otoczony był ze wszystkich stron ubitą ziemią. Czowała się, jakby przekraczała bramę fortecy, nie zaś próg domu.

Idąc po schodach, usiłowała zapanować nad drżeniem przenikającym w głąb żołądka. Wszystko, co wiedziała o Atretesie, usłyszała od Jana, a Jan powiedział jej tylko, że był to niewolnik z Germanii, którego wyćwiczono na gladiatora i obdarzono wolnością, kiedy wygrał walki eliminacyjne podczas igrzysk w Efezie. Za tymi niewieloma słowami kryło się mnóstwo nieszczęść i przemocy. Barbarzyńca z pogranicza; człowiek nauczony zabijania innych ludzi.

– Czy jest chrześcijaninem? – zapytała słabym głosem Jana, czepiając się tej wątlej nici, jakby mogła ją uchronić przed całą górą rozpaczy.

Chrystus potrafi odmienić człowieka. A człowiek odmieniony okaże jej być może współczucie.

– Nie – odparł ze smutkiem Jan – ale jest ojcem Kaleba.

– Jakież ojciec mógłby rozkazać, by zostawiono jego syna na skale, ażeby umarł?

– Ten rozkaz wydała, Rispo, matka Kaleba. On twierdzi, że o niczym nie wiedział.

– I uwierzyłeś mu?

– To Hadassa przysłała go po syna – odparł po prostu Jan i Rispa zalała się łzami.

– Nie mogę go oddać. Nie mogę. Czyż nie dość już utraciłam? Och, Janie, nie mogę! Stał się moim życiem. Całym życiem...

– Uspokój się, moja droga.

Jan rozmawiał z nią przez znaczną część nocy, próbując pocieszyć młodą kobietę i modląc się z nią do Boga.

– Sam zaniosę dziecko ojcu – oznajmił, kiedy nadszedł świt.

– Nie! – sprzeciwiła się Rispa. – Ja pójdę.

Może serce mu zmięknie i pozostawi jej dziecko.

Jan był zbity z tropu i pełen wahań.

– Czy chcesz, bym ci towarzyszył?

– Nie – odparła i szloch chwycił ją za gardło. – Pójdę sama.

Kiedy odprowadzała Jana do drzwi swego małego mieszkania, przez głowę przemknęła jej myśl, żeby wziąć Kaleba i uciec z nim w jakieś miejsce, gdzie nikt ich nie znajdzie.

„Czy przede Mną też się będziesz ukrywać, umiłowana?”

Pytanie pojawiło się w jej umyśle tak wyraźnie, że nie mogła udawać, iż nie wie, jaka jest wola Boga. Oparła czoło o drzwi i z jej oczu popłynął strumień łez. Wiedziała, że jeśli będzie zwlekać, ulegnie pokusie i nie odda dziecka.

Kaleb zawsze budził się głodny. Wyjęła dziecko z łóżeczka i nakarmiła przed wyruszeniem w drogę. Przez cały czas modliła się, żeby Bóg zmiękczył serce Atretesa i żeby Kaleb pozostał pod jej opieką.

Teraz, idąc ogołoconym z roślinności dziedzińcem do pogrążonego w ciszy domu, czuła, jak bardzo samotne jest to miejsce. Czy takie samo jest serce tego człowieka?

„Panie, pomóż! O Panie!”

Weszła za sługą do domu i znalazła się w obszernym atrium, gdzie gospodarz podejmował swoich gości. Woda w fontannie migotała w promieniach światła wpadającego przez otwór w dachu. Rozpryskując się, tworzyła delikatną, dającą chłód mgiełkę. Po kilku godzinach marszu w kurzu drogi Rispa poczuła ulgę.

– Zechciej tu zaczekać, pani – powiedział sługa.

Rispa patrzyła, jak odchodzi pod łukowym sklepieniem i znika za rogiem.

Krażyła niespokojnie po atrium, gładząc plecy Kaleba. Dziecko zaczęło już się wiercić. Wkrótce będzie głodne. Czuła, że jej piersi są pełne mleka.

Usłyszała zbliżające się kroki i serce zaczęło jej bić mocniej. Zamknęła oczy i modliła się żarliwie, żeby Atretes postawił dobro syna przed wszystkimi innymi względami.

„Panie, pomóż! Ojczy, jakże mogę oddać moje dziecko? Cemu tego ode mnie żądasz? Czyż nie dość, że straciłam Szcze-

pana i Rachelę? Przecież dałeś mi Kaleba! Chyba nie po to, by teraz mi go odebrać?”

– Dostojna Rispa, panie – powiedział sługa i Rispa otworzyła oczy.

Kiedy zobaczyła pana domu, jej ciało przebiegł dreszcz niepokoju.

Był wysoki i potężnie zbudowany; miał długie, jasne, zaniedbane włosy. Patrzył na nią oczyma rozpalonymi wściekłością. Rispa nigdy nie zetknęła się z kimś mającym tyle dzikości w oczach. Jego gniew wypełniał całe pomieszczenie.

– Zostaw nas – rozkazał Atretes i sługa zniknął ze skwapliwością, która wzmogła jeszcze bardziej trwogę kobiety.

Znalazła się sam na sam z panem tego domu i czuła, że ogarnia ją coraz większe drżenie. Jedynym dźwiękiem był teraz szmer wody w fontannie. Jej serce biło jak oszalałe, gdyż Atretes zaczął się do niej powoli zbliżać. Jego niebieskie oczy zwięzły się, kiedy mierzył ją od stóp do głów zimnym spojrzeniem, które na moment spoczęło prawie obojętnie na dziecku. Patrzył jej prosto w oczy. Wyczuwała, że ten człowiek jest w każdej chwili gotów użyć przemocy. Promieniowała z niego jakaś mroczna siła.

Ktoś taki miałby być ojcem jej małego, słodkiego Kaleba? Jak to możliwe?

Mocniej przytuliła syna do piersi.

Atretes czuł, jak z każdym krokiem wzbiera w nim gniew. Ta kobieta, tak zaborczo zamykająca w ramionach jego syna, przypominała mu Julię. Była bardzo drobna, a mimo brązowej wełnianej chusty okrywającej włosy, rzucało się w oczy to, że jest niezwykle piękna. Kosmyki mokrych, kręconych, czarnych włosów okalały gładką, owalną twarz o oliwkowej cerze. Usta miała miękkie i pełne jak Julia. Takie same jak Julia brązowe oczy. I takie samo pełne ciało.

Gdyby dziecko nie było owinięte szalem, jednym ruchem wyrwałby swego syna z jej ramion.

Cisnął jej do nóg sakiewkę pełną monet.

– Dwieście denarów! – warknął.

Rispa rozchyliła wargi, wstrząśnięta jego gestem. Zrobiła krok do tyłu. Nigdy nie widziała twarzy tak groźnej, zimnej i bezlitosnej.

– Za mało? – spytał lodowatym tonem.

– Chcesz odkupić ode mnie dziecko?

– Nie! Płacę ci za to, co dla niego zrobiłaś.

Obelżywe słowa roznieciły jej gniew.

– Płacisz? A jak można zapłacić za wydarcie kobiecie z ramion dziecka, które ona kocha? Wygląda mi na to, że niczego nie jesteś w stanie pojąć. Ja kocham Kaleba!

– Kaleba? – powtórzył i przypomniał sobie Żyda, gladiatora, którego znał wiele lat temu w Rzymie, którego szanował i... zabił.

– Takie imię dostał.

– Nie ja mu je dałem!

– Bo cię nie było, kiedy mu je nadawano!

– Powiedziano mi, że mój syn nie żyje – rzucił Atretes zimnym tonem, wyrzucając sam sobie, że tłumaczy się przed tą kobietą. Co to ją obchodzi? – To moje dziecko, kobieto! Rozwiń je z szala i oddaj!

Rispa daremnie próbowała powstrzymać łzy napływające do oczu.

– Nie!

– Nie?

– Proszę cię, byś ze mną porozmawiał.

Atretes był jednak niewzruszony. Przecież Julia też używała łez, żeby uzyskać od niego to, czego chciała.

– To, co możesz mi powiedzieć, niczego nie zmieni.

– Może zaszła pomyłka. Kaleb ma czarne włosy i oczy...

– Jej głos zamarł, gdyż oczy Atretesa pociemniały od gniewu, którego ona nie rozumiała.

– Jego matka miała czarne włosy i oczy – uciał. Zrobił krok w jej stronę, a ona cofnęła się. – Choć mam prawo powątpiewać w to, co mówiła jego matka – dorzucił cynicznie – nie mam powodów, by wątpić w słowa jej służebnej, Hadassy. To moje dziecko!

– Mówisz o nim tak, jakby było rzeczą! Nie jest koniem, żeby nim handlować, ani domem, żeby go sprzedawać. – Rozej-

rzała się. – To ma być dom? Raczej twierdza. Jakie życie dasz temu dziecku?

– Nie twoja sprawa.

– Owszem, moja. Jest moim synem.

– Nigdy nie był twoim synem, kobieto! Trzymasz dziecko na ręku, ale to za mało, by było twoje.

– Odkąd Jan dał mi Kaleba, a ja wzięłam dziecko na ręce, stanowi ze mną jedno.

– Wszystkie kobiety mają serca nierządnic i nie zostawię mojego syna w rękach jednej z nich!

Łzy znowu napłynęły jej do oczu.

– Jedna cię skrzywdziła, a osądzasz wszystkie. To niesprawiedliwe.

– Twoje słowa są bez znaczenia, bo mam prawo do mojego dziecka.

Skinął głową w stronę chłopczyka i Rispa poczuła jakąś sztynność w szyi.

– Masz usta pełne praw dziecka. A miłość? Gdzie byłeś, kiedy matka kazała zostawić swe dziecko na skale? Czemu nie odeślała go tobie? Też go nie chciałeś, czy nie tak? Odwróciłeś się do niego plecami. I śmiesz mi mówić takie rzeczy o kobietach! Co byłoby z Kalebem, gdyby Hadassa go nie uratowała? Po co ci on teraz, skoro nie dbałeś o niego przedtem?

Najchętniej udusiłby ją za te wszystkie pytania, które budziły w nim poczucie winy i zadawały ból. Rozbudzały w nim też zachłanną zaborczość.

– Jest ciałem z mojego ciała – powiedział zimno.

– Kilka godzin spędzonych z kobietą w łóżu to za mało, żeby być ojcem.

Zobaczyła, jak zaciska szczęki.

– Ledwie na niego spojrzaleś – ciągnęła, starając się pokonać gniew i rozpacz. – Czemu chcesz tego dziecka, Atretesie? Co zamierzasz z nim uczynić?

– Zabiorę je do Germanii.

Jęknęła cichutko.

– Do Germanii! – powtórzyła z sercem przepelnionym trwogą. – Jak samotny mężczyzna może wyprawić się w taką

długą i niebezpieczną podróż z czteromiesięcznym dzieckiem, które trzeba karmić piersią? Czy choć przez moment pomyślałeś o tym, czego ono potrzebuje? Kaleb nie przeżyje czegoś takiego!

– Przeżyje! – rzucił stanowczym tonem. – A teraz oddaj mi go.

– Jest za mały!...

– Oddaj mi dziecko albo, przysięgam na bogów, odbiorę ci je siłą!

Kaleb obudził się i zaczął popłakiwać. Rispa poczuła, jak małe piąstki wtulają się w jej piersi. Spojrzała oczyma pełnymi łez na Atretesa i zrozumiała, że mężczyzna gotów jest spełnić swoją groźbę. Nie może narażać Kaleba. Rozwiązała szal i podała dziecko Atretesowi. Rozpłakało się jeszcze bardziej i zaczęło wymachiwać rączkami. Czuła, jak mleko napływa jej do sutek i ogarnęła ją jeszcze większa trwoga.

– Jest głodny.

Atretes zawahał się. Dziecko jest takie maleńkie i bezbronne. Spojrzał na Risnę i dostrzegł trwogę w jej oczach. Po policzkach kobiety spływały łzy. Nie zmieniając srogiego wyrazu twarzy, wziął od niej syna, który zanosił się coraz głośniejszym płaczem.

Rispa przycisnęła dłonie do serca. Podniosła wzrok na mężczyznę.

– Błagam cię, Atretesie, nie rób tego.

Nigdy jeszcze nie widział takiej trwogi na kobiecej twarzy.

– Wynoś się! – rozkazał chrapliwym głosem.

– Błagam!...

– Precz! – wrzasnął i płacz dziecka stał się nie do zniesienia.

Rispa załkała spazmatycznie i odwróciła się.

– Nie zapomnij tego! – krzyknął i kopnął w jej stronę sakiewkę z monetami.

Odwróciła się. Podniosła sakiewkę i patrząc przez łzy na Atretesa, cisnęła ją do fontanny.

– Oby Bóg ci wybaczył, bo ja nie potrafię!

Raz jeszcze spojrzała na dziecko i łkając, wybiegła z atrium.